

## Moje duże miasto

Dziwne jest to miasto, w którym mieszkam od trzydziestu lat. Miasto dobrej nauki, przeffan-cowanej z Kresów, i przedziwnej zbieraniny ludzkiej, spędzonej ze wszystkich stron kraju. Przepięknych, choć nieco obcych, zabytków i ohydnej architektury współczesnej, miasto-stodoła, miasto zmarnowanej szansy. Brudnawe, niezintegrowane i niezborne, a przecież nacechowane jakimś zadziornym patriotyzmem lokalnym. Miasto dobrych malarzy i koszmarnych wystaw sklepowych, zawiadac-ki, a jednak spokojne, o zwolnionym tem-pie, zwłaszcza wieczorem podobne do ciemnej, ogromnej prowincji. Znęcały się nad nim przez całe dziesięciolecia administracje złożo-ne z wyjątkowych nieudaczników, wysadzając w powietrze historyczne budowle, zamykając kina i wydawnictwa, rujnując system komuni-kacyjny, zatruwając wodę i pokrywając wciąż na nowo parszywiejącymi tynkami fasady, za którymi rozpadały się podwórka. Latami bez-litośnie pompowała to miasto stolica i inne czcigodniejsze miejskie organizmy, wyrывая ludzi, instytucje, pomysły i inicjatywy. To mia-sto każdej wiosny witało nas szalonym kwit-nieniem nie przez nas posadzonych krzewów i ogromnych, starych drzew, a wśród forsycji i magnolii polegiwali rankiem pijacy, których wymijało się obojętnie i bez zdziwienia. Ileż razy coś tu się zaczynało, coś elektryzowało wszystkich, a potem zdychało przywalone nie-możnością. Ostatnimi laty wydawało się, że

miasto już się nie pozbiera, że rozbiło się na dziesiątki obcych sobie, marniejących wysp, że „wypuszczono z niego powietrze”.

A jednak, wbrew wszystkiemu i wszystkim, pozbierało się. Pod przykrywką opadających tynków, rozbebeszonych bruków, wyszczerbio-nych neonów, grzybów zjadających mury, do-gorywającej kanalizacji i wymarłych wieczor-nych ulic żyje i tętni mocnym, podskórnym rytmem. Na nowo zaprzyjaźniło się ze sobą i poczuło wspólnotę swojego losu. Przypomina mi człowieka w zniszczonej odzieży, o zmę-czonej, chociaż młodej twarzy, który idzie przed siebie zdecydowanie, ze zmarszczony-mi brwiami i wyrazem zaciętości w oczach. To miasto, znane na pamięć od trzydziestu lat, zdumiewa mnie co rok, co parę tygodni, co dzień i coraz mocniej wiąże mnie ze sobą. Ja już w nim nie mieszkam, ja w nim żyję.

[TP, 17 kwietnia 1983, nr 16]

## Wierność mapie

Często rozkładałam przed sobą mapę świata. W płataninie niebieskich nitek rzek, brunatnych plam pasm górskich i ciemnozielonych depresji, tropię miejsca znajome, spokojne, związane z dobrym wspomnieniem. Są też inne, rozjątrzone i pulsujące; na papierze nie różnią się od pozostałych, a dla mnie mają kolor ognia. Pamiętam, że takim punktem była dla mnie kiedyś Biafra, bolała mnie niemal fizycznie, może dlatego, że znałam ten kraj i ludzi.

Tych punktów jest coraz więcej. Mapa nie jest już gładka, pokrywa się wrzodami. Czasem któryś z nich kłęśnie i blednie, ale już w innych miejscach narywa kilka nowych. Bodaj najstraszniejszym jest dla mnie Liban, bo niczego tam już nie mogę zrozumieć. Każdy już tam walczył z każdym i z każdym się sprzymierzał, aby nazajutrz strzelać do sprzymierzeńca. Patrzę na ten wypukły, ropiejący guz i wiem, że wieczorem przyjdzie do mnie w kolejnym komunikacie, z kolejną rzezią, ostrzałem i bombą ukrytą w samochodzie. Ten piękny Liban, enklawa spokoju i harmonii, pogodzonych plemion i wyznań, prawdziwa Arabia Szczęśliwa, miejsce, gdzie arabskość zatraciła drapieżność i drzemała łagodnie wśród swoich cedrów.

Jak to się zaczyna? Skąd bierze się amok? W niektórych punktach wpływ czasu jakoś to stopniowo przesłania [i wielu na to liczy. Tu

było to tak niedawno, że jeszcze dokładnie pamiętam]. I sędzę, że powinno się ćwiczyć tę pamięć. Niezależnie od zagmatwania i długotrwałości konfliktu, jak najwięcej ludzi powinno mieć przed oczami jego początek, pierwszą przyczynę, pierwsze wsączenie jadu. Dochować wierności mapie.

[TP, 8 września 1985, nr 36]

## O przegrywaniu

W życiu nieraz się wygrywa i niejedną raz się przegrywa. Przegrywa się w sprawach wielkich i małych, ważnych i błahych, w długotrwałych, ledwie zauważalnych procesach i gwałtownie, w chwilach krótkich jak mgnienie. Przegrywać można z przeciwnikiem, z sytuacją, z samym sobą. Przegrywać też można z klasą i bez klasy. Przegrywa z klasą ten, kto przyjmuje to spokojnie, z pewną dozą pokory, a później wyciąga wnioski. Przegrywa bez klasy ten, kto się miota i obarcza winą wszystkich oprócz siebie.

Najśmieszniejszy jest ten, kto przegrał, a udaje, że wygrał.

[TP, 3 grudnia 2006, nr 49]

## O przegrywaniu

Kiedy byłam dzieckiem, bardzo lubiłam grę w klasy, zwaną „chłopkiem”. Rysowało się patykiem na ziemi trzy kwadraty tułowia, długie ramiona przekreślone kreską, kwadrat szyi i duże koło, czyli głowę, zwaną też „niebem”. Wędrowało się po tej figurze, skacząc na jednej nodze lub chodząc z zawiązanymi oczami z kamykiem położonym na głowie. Spadnięcie kamyka albo przekroczenie którejkolwiek linii wykluczało z gry.

Bardzo się tym emocjonowałam, a moja mama uważnie to obserwowała. Któregoś dnia zawołała mnie do siebie i powiedziała mniej więcej tak: — Martwisz mnie, Ewo, bo nie umiesz przegrywać. Złościsz się, beczysz, oskarżasz koleżanki, że oszukują, obrażasz je i zachowujesz się paskudnie. A przegrywać należy elegancko i z klasą. Przekonasz się o tym w życiu, grając w różne gry, znacznie ważniejsze niż gra w klasy. Bo — zmieniając trochę znane powiedzenie — pokaż mi, jak przegrywasz, a powiem ci, kim jesteś.

Te słowa mojej mamy przypomniały mi się dokładnie na początku trzeciej dekady października tego roku i odtąd codziennie, i coraz głośniejszą dźwięczą mi w uszach. Ciekawe dlaczego?

## Umówmy się

Jechałam niedawno z Wrocławia do Warszawy ekspresem „Odra”. Wagony zaniedbane, okna albo się nie domykają, albo w ogóle nie dają się otworzyć, przez szyby nie widać świata, bo przykrywa je gęsty, mazisty nalot, w ubikacji brak wody i papieru. Za to z głośnika, wkrótce po ruszeniu, odzywa się głos: — Załoga ekspresu „Odra” wita serdecznie podróżnych. Bufet „Wars” jest dziś nieczynny, za co przepraszamy. Życzymy miłej podróży.

W godzinę po wyjeździe zepsuło się ogrzewanie. Konduktor bezradnie rozkładał ręce, wszyscy siedzieli w płaszczach i szczękali zębami. W Kaliszu, Sieradzu i Łodzi głos z głośnika witał nowo przybyłych i namawiał wysiadających, aby nie zapomnieli o podręcznym bagażu. Dokoła Chandra Unyńska, w głośnikowej skrzyneczce Europa. A w tym bezosobowym, trochę schrypniętym głosie, coś jakby propozycja — umówmy się. Umówmy się, że prawdą jest nie to — co jest, ale to — co być powinno. Jeżeli się umówimy, może uda się nam w to uwierzyć. Jeżeli uwierzymy, świat będzie łatwiejszy.

A tymczasem, w miarę ziębnienia wagonu, podróżni reagowali na ten głos z coraz większą irytacją. W końcu patrzyli na ożywającą co pewien czas skrzynkę z zimną, białą pasją. Rytuał słów nie zastąpił faktów.

Na Dworcu Centralnym głos już się nie odezwał. Może obraził się na to dziwne i niewdzięczne społeczeństwo (wagonu), które domaga się faktów i nie chce się umówić?

[TP, 13 listopada 1983, nr 46]

## Drzwi

Masajowie żyjący na wielkich równinach otaczających górę Kilimandżaro w Kenii i Tanzanii są plemionami nomadów. Rządy obu tych państw wielokrotnie usiłowały ich skłonić do życia osiadłego — przy pomocy różnych „programów cywilizacyjnych”, pożyczek, darywizn ziemi, a także grózb i represji. Bez rezultatu. Masajowie są pasterzami i właścicielami ogromnych stad bydła, będącego mniej nawet podstawą wyżywienia, a bardziej oznaką prestiżu i przedmiotem kultu. Życie plemienia podporządkowane jest życiu stada. Jeżeli gdzieś zabraknie dobrej trawy, Masajowie porzucają prowizorycznie klecone osiedla, tak zwane bomy — i wędrują tam, gdzie pastwisko jest lepsze. Jedyнным stałym elementem domu Masaja są drzwi. Wyplecione z najtwardszych wiklin, pieczołowicie konserwowane i naprawiane. Wyjmuje się je z chaty, podobnej do pieczarki ulepionej z gliny, ładuje na grzbiet osła i wyrusza, wraz z całą wspólnotą i stadem, w długą nieraz wędrowkę. Po przybyciu stawia się po prostu drzwi na ziemi, „obudowuje” je nową chatą i ciągłość jest zachowana.

Każdy człowiek, każda wspólnota, każdy naród ma takie drzwi. Może to być tradycja i język, religia i godność, poczucie przynależności do pewnego kulturowego kręgu i wierność pewnym zasadom etycznym. [I jakiegokolwiek próby by podejmowano, aby to wykorzystać,

aby wspólnotę rozbić, naród wynarodowić, a człowieka odhumanizować, to choćby ten jeden trwały element, gwarancja ciągłości, będzie się skutecznie opierać]\*.

Każdy musi tylko mieć świadomość posiadania takich drzwi i wiedzieć, jak należy je konserwować. A w razie przymusu wyruszenia, trzeba zabrać je ze sobą i dowieźć, nietknięte, aż do kresu wędrowki.

[TP, 12 lutego 1984, nr 7]

\* Fragmenty tekstów usunięte przez cenzurę podano w nawiasach kwadratowych.

## Jak zawsze

Co się z nami stało? Po tym niezwykłym lecie 1989 roku, kiedy potęga trzymająca nas w garści od półwiecza zaczęła się rozlatywać. Potem bez hekatomb, ofiar, bez jednego wystrzału rozleciała się nagle, po stuleciach zrobiło się wokół nas jakoś przytulniej, przyjaźniej i bezpieczniej. Powitano nas z uśmiechem, zaproszono do NATO, potem do UE, potem przyszedł boom cywilizacyjny, rozkwit, rozbudowa, zupełnie nowe perspektywy. A myśmy się tym cieszyli zaledwie kilkanaście miesięcy, a potem spojrzeliśmy na siebie ponuro i zaczęliśmy się gryźć.

Co się z nami stało?

Nic się nie stało. Tacy byliśmy zawsze. Od niepamiętnych czasów, od szlacheckich zajazdów, rokoszów, procesów sądowych ciągnących się przez parę pokoleń, poprzez wszystkie emigracje, konspiracje, stronnictwa, zawsze w sporach, zawsze w konfliktach, zawsze — w sprawach najważniejszych i w zupełnych drobnostkach — nienaprawialnie skłóceni.

[TP, 25 października 2009, nr 43]

## Czołowe zderzenie

W pedecie, smętnej Mekce wrocławskich zakupów, pojawiło się parę dni temu nowe stoisko. Pod pomarańczowym baldachimem stoją kosze z wymyтыми marchewkami i pietruszkami, czerwienią się papryki, fioletowieją bakłażany, złocą grejpfruty, tu i tam sterczy ananas. Dwaj elegancko ubrani młodzieńcy i jedna pani kroją to w jakieś niezwykle sałatki w formie serduszek, zwiniętych loków i dziurkowanych płatków. Na półkach, w kolorowych opakowaniach, zestawy noży, maszynek i innych przyrządów kuchennych. Ceny — dwadzieścia dwa tysiące, pięćdziesiąt osiem tysięcy i więcej. To RFN-owska firma Börner daje kulinarny show. Ludzie, stłoczeni w ciasnym wianku, przyglądają się nabożnie. Właśnie jeden z młodzieńców wbija nonszalancko jajka do błyszczącego garnka, podgrzewanego na estetycznej płytce. — Mój Boże, tyle jaj — szepce jakaś pani. — Im więcej, tym potrawa smaczniejsza — odpowiada z uśmiechem showman.

Nagle coś się dzieje. Jakiś wicher wymiata przyglądających się, ze wszystkich stron biegną galopem ludzie, kotłowanina, kogoś przewrócili, inni go trują, oczy płoną, wszystko nakrywa wrzask. To półtora metra dalej ekspedientka wytaszczyła na ladę worek cukru i sprzedaje po torbie na głowę. Starczyło na pół godziny, szczęśliwi unoszą łup, reszta przez chwilę zlorzeczy, potem się rozchodzi, niektórzy znów grupują się wokół baldachimu.

Tak oto Nowe i Stare zderzyło się czołowo we wrocławskim pedecie.

[TP, 17 września 1989, nr 38]



## Miasto

Miasto, niekoniecznie to, w którym człowiek urodził się i wychował, ale to, które świadomie wybrał — może stać się żywym towarzyszem, bliskim przyjacielem.

Jego powolną degradację można przeżywać tak, jak własną chroniczną dolegliwość, do której można się przyzwyczaić, ale która kładzie się cieniem na wszystkim, co się robi i myśli, na każdym kolejnym dniu.

Jego nagła katastrofa i zniszczenie staje się osobistym nieszczęściem. Człowiek ciężko choruje razem z nim, jest obezwładniony, porażony, choćby nawet sam nie poniósł wielkich strat.

Jego dźwiganie się i odradzanie może być źródłem trwałej radości i wzruszenia. Wcale nie dlatego, że wygodniej się po nim chodzi i jeździ, że więcej sklepów i że do nich bliżej. Ze względu na nie samo, na jego kształt, który pozostanie nawet, kiedy nas już w nim nie będzie. Ogląda się stare ryciny i fotografie (takieś więc było, miłe moje, jak to dobrze, że oddano ci twoją historię, tak głupio przedtem odciętą...). Chodzi się co jakiś czas na inspekcje, żeby sprawdzić, co przybyło — stylowe ławki na deptaku, latarnie, kioski dla kwaciarek, nowy pasaż, odtworzona przedwojenna statuetka, mozaika z granitowej kostki (tę starą kostkę wydobyto pewnie z jakiejś ulicy na

peryferiach, trudno, moje miłe, tu dużo lepiej pasuje...). Podgląda się różne detale, odrestaurowaną kamieniczkę, wewnątrz domu towarowego z przywróconym szklanym dachem, pojedynczy gzyms i maskaron (to wszystko tu było, ale niewidoczne pod niechlujnym tynkiem i warstwą brudu, widzisz, jaki ci dali podarunek, miłe moje...).

Każdy powinien mieć takie miasto. Bo jeżeli to jest tylko adres, miejsce do mieszkania, które można bez żalu zmienić, to życie jest znacznie uboższe.

[TP, 14 marca 1999, nr 11]

## Mat

Nie chodzi o sytuację w szachach, ale o przeciwieństwo blasku. Mat jest nieodłącznym towarzyszem starości. Tracą połysk włosy, oczy, głos staje się coraz mniej dźwięczny, na świat patrzy się jak przez zakurzoną szybę, matowieją emocje i prowadzone rozmowy. Nie ma w nich wielkich planów i śmiałych wyzwania, raczej jakieś drobne skargi i małe pretensje. Bywa, że czasem znów coś się zapali i — jak dawniej — zapłonie. Ale wtedy człowiek cofa się i zamyka oczy. Bo blask razi.

[TP, 7 października 2007, nr 40]

## Brzeg

We wspomnieniach z moich dalekich rejsów  
ważne miejsce zajmuje ukazujący się brzeg.  
Najpierw to jest cieniutkie, ledwie dostrzegal-  
ne pasemko mgły na horyzoncie. Potem mgła  
zaczyna gęstnieć i twardnieć. Potem zdradza  
swoją charakter — wysoki, nadbrzeżny klif,  
plama skołtunionej zieleni, zarys jakiejś osady  
czy miasta. Już to się konkretyzuje, rozpada na  
pojedyncze fragmenty — jadący pojazd, drze-  
wo, kopałka, wieża... — Jakie jesteście? —  
pytam miasta, skał czy zieleni. Co mi o sobie  
powiecie, kiedy was zobaczę z bliska, poznam,  
dotknę? Jaką mi darujecie nową, wspaniałą  
przygodę?

Teraz też dobijam do brzegu — ten zachowu-  
je się zupełnie inaczej niż tamte sprzed lat. Im  
jestem bliżej, tym brzeg jest mniej wyraźny.  
Tym mniej pytań ośmielam się mu zadać. Tym  
mniej o nim wiem.

[TP, 11 maja 2008, nr 19]

## Pora

W młodości czasu jest zawsze za mało. Wszystkie sprawy wydają nam się wtedy najważniejsze, wszystkie działania konieczne, a odpowiedź na wiele pytań wymagałaby zbyt długiego namysłu. Chowamy to więc do skrytki i odkładamy na później. Na właściwą porę.

Potem zaczynamy się starzeć i czasu jest jakby za dużo. Otwieramy skrytkę — i rozczarowanie! Sprawy niedokończone już dawno straciły aktualność, problemów nie da się przemyśleć do końca, bo myśli są już inne, a odpowiedzi na pytania jak nie było, tak nie ma. Pocieszamy się więc, że otworzyliśmy skrytkę za wcześnie. Że to jeszcze nie jest właściwa pora. Ale jak ją znaleźć, skoro nic o niej nie wiemy? Czasem tylko coś nam zamajaczy w twarzy starego człowieka siedzącego samotnie na ławce. Ale wtedy przeważnie przyśpieszamy kroku i mijamy go, nie oglądając się.

[TP, 24 czerwca 2007, nr 25]

## O wierności

Choćby człowiek znał wielu starych ludzi, choćby rozmawiał i czytywał książki o starości — swoją własną starość przeżywa tylko raz w życiu i stale go ona zaskakuje. Na przykład nieznane przedtem przywiązanie do przedmiotów zniszczonych i wysłużonych. Dawniej rzecz starą wyrzucało się i zastępowało nową, co dawało drobną przyjemność i uczucie odświeżenia. Teraz w nieskończoność reperuje się podziurawioną jak sitko narzutę na tapczan, pamiętaną jeszcze z dzieciństwa. Odczuwa się mały skurcz serca na widok poobtłukiwanego garnka z przepalonym dnem. A jeśli jest to garnek, który służył na kampingach nad Morzem Tyrreńskim, Egejskim, nad rzeczką Alfios w Olimpii czy nad Tagiem koło Toledo, myśl o wyrzuceniu go napawa zgrozą.

Co to jest? Zdziwaczenie? Czułostkowość? Groteskowa lojalność? Niezrozumiała wierność? Staruszkowie nie żyją jednak wiecznie, a spadkobiercy nie będą się zastanawiać nad ich motywami, tylko po prostu cały ten chłam wyrzucą parę dni po pogrzebie.

[TP, 22 lipca 2007, nr 29]

## Symulator

W centrum Wrocławia, na skwerku, stoi od niedawna symulator. Za jedyne trzydzieści tysięcy można przeżyć zjazd rynną wodną, wyścig motocyklowy czy lot helikopterem. Wchodzi się po prostu do ciasnej, ciemnej kapsuły, gdzie telewizor pokazuje odpowiednie obrazy, a kapsuła, poprzez odpowiedni mechanizm, zostaje wprawiona w drgania, kołysania i stawanie dęba. Daje to wrażenie osobistego uczestnictwa.

Z początku ludzie odnosili się do tej atrakcji nieufnie, teraz kapsuła trzęsie się niemal bez przerwy. I bardzo dobrze. Jeżeli ktoś wydał sporo pieniędzy na urządzenie, to niech przynajmniej wyjdzie na swoje.

Przyszło mi jednak do głowy, czy to trochę nie przypomina naszej „wielkiej przemiany”? Odwiedzamy sex shopy i pijemy kolorowane soczki, w telewizji oglądamy reklamy i porachunki rodzimych mafii, na ulicy irokezów i skinów, w parlamencie nieparlamentarne rozróbki, na składanych łóżkach harlequiny i ludlmy. I już nam się wydaje — mimo naszej zaściankowości, niedouczenia i mrocznych fobii — że jesteśmy Europą.

A to tylko trzęsie się kapsuła.